

# Kronika

## tygodniowa

Niniejsza kronika zamykająca rok 1922., powinna właściwie należeć do obu stykających się ze sobą lat, t. j. zawierać pożegnanie Starego Roku i powitanie Nowego. Ponieważ jednak powitanie musimy sobie odłożyć do następnego numeru, będącego noworocznym, choć pojawił się właściwie dopiero w tygodniu po Nowym Roku, narazie ograniczamy się do wspomnienia pośmiertnego o roku schodzącym do grobu, nie kontynuując także i świątecznych życzeń w myśl poprzedniej zapowiedzi, gdyż wyczerpaliśmy je w zupełności w ubiegłym tygodniu. Krótkie były, a tem szersze i serdeczniejsze, kto się do nich zastosuje, może być pewnym, że się doczeka lepszej przyszłości, jeśli nie zaraz, to bodaj po latach, gdyby zaś w międzyczasie opuścił ten padół płaczu i dodatków drożynianych, sam sobie musi winę przypisać.

W myśl starej zasady: *de mortuis nihil, nisi bene*, należałoby chwalić rok 1922. i podnosić jego dobre strony, nie możemy tego jednak, niestety, uczynić, cieszymy się tylko, że się raz już przecież skończył i pocieszamy nadzieją, iż następca nie wejdzie w ślady poprzednika. Te dwanaście miesięcy kłopotów i trosk i to do tego bez trzynastej pensji dały się nam porządnie we znaki. Zamykając bilans całoroczny, dochodzimy wprawdzie do przekonania, że jesteśmy milionerami, jak nie przymierzając Rotzkyld, Morgan lub Rockefeller, ale także wiemy i o tem bardzo dobrze, że jeszcze nigdy nie byliśmy takimi działkami, jak obecnie.

Świadczą o tem i lepiej święta Bożego Narodzenia, które miały tylko jedną dobrą stronę, t. j. były pogodne i ciepłe, ale w niczem nie przypominały dawnych, przedwojennych, kiedy to kosztem niecałej połowy setki koron miało się i obfitą wilgą, z rybkami, winem, struclami, a tych darów bożych było tyle, w stanie stałym jak i płynnym, iż wystarczyło na kilka dni następnych. A dziś, aż żal wspomnieć, jakie święta można było sobie urządzić kosztem kilkudziesięciu tysięcy marek. Kilo karpia około pięć tysięcy, inne artykuły, bez których dawniej świąt nie wyobrażaliśmy sobie, w tym samym stosunku, dla umysłowo pracującego inteligenta nie pozostało zatem nic innego, jak karpia zastąpić śledziem i to jeden na dwie osoby..., a popić go zamiast wina cienką herbatką, osłodzoną sacharyną.

Tegoroczna wilga narobiła dość kłopotu wszystkim rodzicom także i z tego powodu, że pierwszy dzień Bożego Narodzenia przypadł na poniedziałek, do stołu wigilijnego zasiąść zatem należałoby w niedzielę wieczór, ponieważ jednak Kościół w takich wypadkach przenosi post na dzień poprzedni, wyłoniło się pytanie: sobota czy niedziela. O ile obydwójce małżonkowie byli jednego i tego samego zdania, to jeszcze bagatela, jeżeli jednak różnili się w swych zapatrywaniach, doprowadzało to do scen domowych, niejednokrotnie zaś skończyło się odłożeniem wilgi na rok następny, który już żadnych wątpliwości pod tym względem nie nasunie, gdyż przypadnie ona na poniedziałek. Ogłosił wprawdzie w *Wiadomościach Krakowskich*, ksiądz Pixa, że powinno się pościć i wieczór wigilijny urządzić w niedzielę. *Naprzód* jednak w komunikacie Dyrekcyi tramwajowej zawiadomił, iż sobota przeznaczoną jest na wieczór wigilijny. Niewątpliwie ksiądz Pixa, jako osoba duchowna, zna się dobrze na przepisach kościelnych, z drugiej jednak strony musi się wierzyć także i *Naprzodowi*, który od chwili wyboru ks. biskupa Sapiehy do senatu stał się arcyklerykalnym i występuje stale w obronie papieskich rozporządzeń, ma zatem widocznie w składzie swej redakcyi kogoś bardzo biegłego w sprawach, dotyczących Kościoła.

Są rodziny, które bezpośrednio po wieczorze wigilijnym muszą się udać na Pasterkę, gdyż bez niej świąt nie rozumieją, jakże więc mogłyby biesiadować w sobotę wieczór, skoro Pasterka odbędzie się dopiero w niedzielę w nocy, poszczenie zaś w niedzielę jakoś dziwnie wy-

gląda. Nie pozostawiało im zatem nic innego, jak i w sobotę pościć z polecenia Dyrekcyi tramwajowej i *Naprzodu*, a w niedzielę według wskazówek księdza Pixy. Nie kłopotali się tylko kawalerowie, jako bezdomne istoty, pokutujące postem za swe grzechy przez rok cały.

Niemalże też zmartwienia miały nasze gospodynie ze samymi świętami. Na trzy dni, t. j. niedzielę, poniedziałek i wtorek, kiedy sklepy i jatki są zamknięte, trzeba było porobić zapasy, a tu jak na złość, powiedzieli sobie panowie rzeźnicy, że to najodpowiedniejsza sposobność do wymuszenia nowej podwyżki cen i pochowali mięso, skazując ludność Krakowa w ten sposób na post ścisły nawet w te dni, kiedy Kościół kasuje obżarstwo. Wprawdzie policja zabrała się wyjątkowo energicznie do tych paskarzy i lichwiarzy żywnościowych i gdy oni pozamykali swe sklepy, ona pozamykała rzeźników, ale to głodnych nie nasyci. Rozpoczęły się procesy od sklepu do sklepu, od jatki do jatki, kłaniano się pokornie panom Wołóbjom i niemal na klęczkach proszono o zmiłowanie, nie na wiele się to przecież przydało, a komu się udało wyrwać gdzieś bodaj z kilogram wołowiny, uważał się za szczęśliwca.

Przyznać się musi, że nasi rzeźnicy i masarze, o ile rozchodzi się o podwyższanie cen, odznaczają się nadzwyczajną solidarnością, tak jak znowu w normalnych czasach arogancją i szorstkością wobec odbiorców, wiedząc do brze o tem, że skazani są na ich łaskę lub niełaskę, a im bardziej napychają się ich kabzy, tembardziej hardziej i ich dusze. W zgodnej parze z rzeźnicką plcią męską idzie i ich płęć nadobna, nie odznaczająca się zbyt miękkim sercem, choć się niem tak lubi chwalić. Słyszeliśmy niedawno, że żona pewnego biednego urzędniczyny, będąc w jatce celem zakupna funta mięsa, dowiedziała się z ust pani właścicielki, że takiej ilości nie opłaci się jej sprzedawać. Zmuszona koniecznością zdecydowała się nabyć zatem całe kilo, a gdy się ośmieliła zwrócić uwagę, że dokładka trochę za wielka i bezużyteczna, spotkała się z odpowiedzią:

— To idź sobie pani gdzieś indziej, ja panią nie proszę, aby pani do mnie przychodziła... Jaka mi jasna pani, którą nie stać na kupienie całego kila!... Nie weźmie pani, weźmie z pocałowaniem ręki kto inny... Ja tylko z dobrego serca sprzedaję hołocie i do tego dokładam...

To rzekłszy uderzyła się potężną pięścią ręką w serce, ale właściwie w żywo i dołożyła... jeszcze jedną kość do ważonego w tej chwili mięsa.

Zestawiając te i tym podobne okoliczności, widzimy, że tegoroczne święta nie były właściwie połączone z większymi wydatkami, choć może bowiem znalazłyby się pieniądze na zakupno, nie było gdzie kupić i co kupić, oczywiście z artykułów do życia niezbędnych, gdyż zbytowych było pod dostatkiem i na nie nie żalowali ludzie pieniędzy. Wystarczyło wstąpić dajmy na to do nowego sklepu Piaseckiego pod „Baranami”, aby się przekonać, jak Krakowianie żądni są słodczy, być może dlatego, aby sobie osłodzić swą gorzką dolę, choć znowu, patrząc na oblicza tych dwu selek klientów, czekających tam cierpliwie na swą kolej, dojść się musi do przekonania, że źle się im nie wiedzie. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno zrobić uwagę pod adresem firmy, że, skoro posiada tak piękny lokal i tak obszerny, a do tego tak liczną klientelę, byłoby bardzo wskazane, w interesie tak sprzedającego, jak i kupujących, aby obsługujący personel nie był tak szczupły (ale tylko liczebnie...) i nieco lepiej wyszkolony w wykonywaniu swego zadania. Trzy panienki na ponad dwustu odbiorców to trochę za mało, a wiemy o tem dobrze, że u Piaseckiego ruch podobny bywa nie tylko w czasie przedświątecznym, ale i codziennie. Dodajmy do tego, że owe panienki, choć sprzedają słodczy, nie zawsze odznaczają się słodkością obejścia się z gośćmi, a będziemy mieć mniej więcej to samo, co powiedzieliśmy wyżej o p. p. rzeźnikach.

Jak już zaznaczyliśmy na początku aura w czasie świąt była dość znośna i, choć Obserwatorium astronomiczne nie zanotowało silniejszych wiatrów, już od soboty spotkać można było na ulicach wiele jednostek silnie „zawianych”. Szły niepewnym krokiem, (ale to wina także i krakowskich bruków), mruczały zaś pod nosem:

— Teraz nie wiem, czy wódka była niedobra, czy też może wypilem już za wiele?...

Ponieważ zaś alkohol oddziaływał silnie na serce, każdy pijak stał się ogromnie czuły i serdeczny, rad ugościłby każdego, znajomy, czy nieznajomy, ale gdzie tu iść, skoro wszystkie knajpy pozamykane, a pod dach rodzinny prowadzić gościa jakoś nie wypada, nie będąc pewnym, jak przyjęłaby go czcigodna małżonka, skoro się jawi w towarzystwie męża, będącego „w takim stanie”. A w domu znalazłoby się i coś przebrać i czemś popić, niestety, w tych warunkach staropolską cnotę gościnności musi się zawiesić na kołku.

Albo taki obrazek prawdziwie majowy, malowany w słońcu, choć pochodzący z końca grudnia.

Rzecz dzieje się wieczorem w sobotę, uznaną przez Dyrekcyę tramwajową za dzień wigilijny. Na Linii A-B. około godziny siódmej ruch nadzwyczaj ożywiony, rojno i gwarno, ale najhałaśliwiej zachowuje się towarzystwo, złożone z kilku osób obojga płci, należących do typu „andrus krakowski”. Środek tworzy pan w cylindrze, z boku drugi z harmonią, inny z flaszką „pocieszycielki”, która krąży z rąk do rąk, dodając ochoty. Harmonia gra, towarzystwo śpiewa, wszyscy rozstępują się, robiąc miejsce wesółemu zespołowi, który dochodzi do wyłofu ulicy Sławkowskiej, gdzie zwykle spotkać można stróża bezpieczeństwa publicznego. Był tam i wówczas, ale, wyszkolony metodą angielską, odwrócił się tyłem, aby nie widzieć wesółków i wyraził im w ten sposób swą pogardę, na nie potrafił go wyprowadzić z równowagi nawet trzask rozbijającej się flaszki. A towarzystwo, dalej wesóło śpiewając, odwróciło się do niego tyłem i podażyło z powrotem tą samą drogą. Przechodnie, obserwujący ten epizod, podziwiali iście angielską flegmę i stoicki spokój naszych aniołów stróżów.

W pierwszy dzień świąt urządzono nam niespodziankę, za którą nie wiemy, komu mamy być wdzięcznymi, Dyrekcyi Tramwaju, czy też redakcyom, podającym nieścisły komunikat. Ogłoszono mianowicie, że w dzień ten kursować będą wozy tramwajowe od godziny 2 popołudniu, tymczasem zapadł już wieczór, a na miasteczko żaden się z nich nie pokazał. Na stacyach gromadzili się ludzie i oczekiwali cierpliwie, a nie doczekawszy się, odchodzili, mrucząc pod nosem:

— Te tramwaje, to jednak bardzo mądry wynalazek!... Jak one przyczyniają się do ożywienia ruchu...

I drugi dzień nie obszedł się także bez niespodzianki, dość smutno świadczącej o energii naszych władz, w tym wypadku samorządowych, wydających rozporządzenia, do których nikt się nie stosuje. Ogłosił magistrat *urbi et orbi*, że obrzucanie się w dzień św. Szczepana na publicznych miejscach owsem lub confetti jest najsurowiej wzbronione, a przekraczający ten zakaz pociągani będą do odpowiedzialności. Tymczasem, jak gdyby na urągawisko powadze magistratu, jeszcze nigdy może nie zużyto w Krakowie w tym dniu tyle śmieci rozmaitego rodzaju na wzajemne obsypywanie się, jak w roku bieżącym, a nikomu nie przyszło nawet do głowy pociągnąć sypiących do jakiejś odpowiedzialności.

Oto mniej lub więcej wesole wspomnienia z tygodnia, kończącego rok stary.

